OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 22 Marca / 3 Kwietnia 1867 roku.

Nr 14. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

MĘKA CHRYSTUSA.

Kiedy się spełniły dni przepowiedziane przez Patryarchów i Proroków, po odbytej już ostatniej z uczniami swemi wieczerzy, Chrystus widząc zbliżającą się chwilę okropnej męki, poszedł na miejsce zwane Getcemane, do ogrodu Oliwnego, aby się pomodlić. Pot kroplisty spływał Mu krwawemi strumieniami po twarzy, dusza smutkiem się napełniła, ciało pod widokiem strasznej męczarni drżało, Chrystus klęczał i widział co Go czeka; widział wszystkie swoje katusze, wszystkie zniewagi któremi Go okryją; widział całą niewdzięczność rodzaju ludzkiego, gorszą od tych biczów i policzków, których jutro miał doznać; widział że ta krew którą przeleje, będzie na potępienie wielu, na potępienie tych co Go się zaprą, co Go naśladować nie zechcą, co nawet zaprzeczą Jego istnieniu, co Go wyśmieją, wyszydzą! Więc klęczał, modlił się do Boga Ojca, mdlał ze wzruszenia i wołał: „Ojcze! jeśli to być może, oddal odemnie ten kielich!" aż anioł pocieszyciel zstępował z Nieba pokrzepiać i umacniać Go musiał. Tak, straszna to chwila przed śmiercią poświęcać się dla kogoś, a nie być przez wszystkich uznanym, pojętym. Taką chwilę miał Chrystus zbawiający świat, a na którego życie dybali właśni Jego ziomkowie; to też mdlał i pocił się krwawo jak człowiek, bo oprócz natury boskiej miał w sobie i naturę ludzką.



Matka Boska Bolesna.—(Rysował Pillati—Wyciął na drzewie Sosiński).

Niedługo, Judasz jeden z dwunastu Jego najulubieńszych uczniów, zapłacon przez starszych żydowskich trzydziestu srebrnikami, wchodzi do ogrodu milczkiem z wielką liczbą uzbrojonej zgrai w kije, miecze i koły, a powiedziawszy siepaczom aby brali tego którego on pocałuje, przybliża się do Chrystusa.

Chrystus spojrzał na zdrajcę wzrokiem tak łagodnym, tak miłosiernym i rozczulającym, że ktoby miał choć odrobinę uczucia, toby mu serce pękło z boleści i żalu, zwłaszcza kiedy się jeszcze odezwał:

— Przyjacielu! na coś tu przyszedł?

Ale Judasz zamknął swe serce na uczucie, zatopił je w nikczemnym kruszcu i jak najfałszywszy obłudnik, spoglądając z ukosa na zbirów, wyciąga do Jezusa ręce, całuje Go niby przyjaciel i mówi: „Witaj Mistrzu!" Na ten znak, rozjuszona tłuszcza rzuca

się na swoją ofiarę, porywa Chrystusa, wiąże i jak baranka wiedzie do Kaifasza. Uczniowie widząc co się z Nauczycielem dzieje, słabi jeszcze i nie umocnieni w wierze, pierzchli z bojaźni. Piotr tylko jeden pozostał, a w zapale gniewu dobył miecza i uciął jednemu z żołdaków ucho, za co został od Chrystusa złajany. Lecz i on niedługo zaparł się mistrza.

Gdy tedy przywiedli Jezusa do Kaifasza jako do Arcy-kapłana, przedniejsi, starsi i wszystka rada szukali fałszywego świadectwa, aby Go na śmierć wydać. I przychodzili fałszywi świadkowie i świadczyli przeciwko Niemu, a choć Chrystus nic nie mówił, oni przecież wołali, że winien jest śmierci i plwali na oblicze Jego i pięściami Go bili, a drudzy Go policzkowali, mówiąc: „Prorokuj nam Chrystusie, kto jest ten który Cię uderzył?” A Piotr siedział przed domem na podwórzu. Tedy przystąpiła do niego jedna służąca i zapytała: I tyś był z tym „Jezusem Galilejczykiem?” A on się zaparł po trzy kroć, mówiąc i przysięgając się: „Nie znam tego człowieka.”

Nazajutrz rano, weszli w radę wszyscy znaczniejsi Kapłani i starsi ludu przeciwko Jezusowi, aby Go zabić. I związawszy Go zawiedli do Pontskiego Piłata starosty. Tedy Judasz widząc, iż dawnemu jego Mistrzowi śmierć grozi a żałując swego postępku, rzucił w kościele srebrniki, a odszedłszy powiesił się. A Jezus stał przed starostą i na pytanie: „Tyżeś jest król Żydowski?” odpowiedział: „Ty mówisz.”—Piłat wiedział o Jego niewinności, więc gdy podług zwyczaju, przed świętami Paschy miał uwalniać jednego z więźniów, rzekł do ludu: „ Któregoż chcecie abym wam wypuścił: Barabasza złoczyńcę, czy Jezusa którego zowią Chrystusem?”— A oni odpowiedzieli: „ Barabasza!”

— Cóż tedy uczynię z Chrystusem?

Rzekli mu wszyscy:

— Ukrzyżuj! ukrzyżuj go!

— Cóż on wam złego uczynił?

— Ukrzyżuj! ukrzyżuj go!

A widząc Piłat, iż to nic nie pomagało ale się owszem większy rozruch wszczyna, wziąwszy wodę, umył ręce przed ludem, mówiąc: „Nie jestem winien krwi tego sprawiedliwego.” A lud odpowiadając, rzekł:

— Krew jego spadnie na nas i na dzieci nasze!

Tedy im wypuścił Barabasza, a Jezusa ubiczowawszy wydał aby był ukrzyżowany, to jest skazał Go na śmierć najpodlejszą, najochydniejszą, którą karano tylko złoczyńców i samych wyrzutków społeczeństwa. Natenczas starościńscy żołnierze przywiedli Jezusa na ratusz, przyodziali Go płaszczem szkarłatnym i uplótłszy koronę z ciernia, włożyli Mu ją na głowę i dali trzcinę w prawą rękę Jego, a upadając przed Nim na kolana, naśmiewali się z Niego, mówiąc:

— Bądź pozdrowiony królu żydowski!

A plując nań, wzięli oną trzcinę i bili Go w głowę. A gdy się z Niego naśmiewali, zwlekli Go z płaszcza i oblekli w szatę Jego i wiedli Go, aby był zamordowany. Krzyż ciężki włożyli na zbite i posinione barki Chrystusa, a cała Jerozolima, ci sami mieszkańcy, którzy niedawno z tryumfem wprowadzali Go do miasta i kwiaty Mu rzucali pod nogi, teraz w assystencji wojska, poranionego, pokrwawionego, odprowadzają na śmierć z narzędziem haniebnéj męki, na Golgotę! Jezus cierpiał niewymownie! Ze znużenia i boleści mdlał i upadał po drodze, aż oto nadarzył się powracający z pola Szymon Cyrenejczyk, więc żołnierze włożyli nań krzyż, aby go niósł i pomagał Jezusowi. A gdy niektóre niewiasty poczęły płakać, Jezus obróciwszy się do nich, rzekł:

— Córki Jeruzalimskie! nie płaczcie nademną, ale raczej same nad sobą i nad dziatkami waszemi!

A wiedzieni też byli i inni dwaj złoczyńcy, aby wespół z Nim straceni byli.

A gdy przyszli za miasto na górę zwaną trupich głów, tam go zwlokłszy z szat, ukrzyżowali razem z dwoma owymi złoczyńcami, tak iż jeden z nich był po prawej, a drugi po lewéj stronie Chrystusa. Tedy Jezus wielkim głosem rzekł z krzyża:

— Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą co czynią.

I stał lud przypatrując się i naśmiewając razem z innymi, którzy tam byli obecni. A jeden z onych złoczyńców którzy z Nim wisieli, urąga Mu mówiąc:

— Jeśliś ty jest Chrystus, ratuj że siebie i nas.

A odpowiadając drugi, gromił go mówiąc:

— I ty się Boga nie boisz, choć jesteś w temże skazaniu! My sprawiedliwie cierpimy, ale Ten nic złego nie uczynił, i rzekł do Jezusa: „Panie! pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa Twego.” A Jezus rzekł mu: „Zaprawdę powiadam ci, dziś ze mną będziesz w raju.” A działo się to około szóstej godziny, i stała się ciemność po wszystkiéj ziemi, aż do godziny dziewiątej. I zaćmiło się słońce, a zasłona kościelna rozerwała się na pół. A Jezus podnosząc oczy w górę zawołał: „Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mojego,”—i skonał. A widząc setnik co się działo i lud wszystek widząc jak ziemia się trzęsie, jak skały pękają i groby się otwierały, a umarli powstawali, weszli do miasta i pokazywali się wielu,— poczęli wołać: prawdziwie Ten był Synem Bożym!

A było tam wiele niewiast, które przyszły za Jezusem od Galilei, posługując Mu. Między któremi była: Marja Magdalena i Marja matka Jakóbowa i Jezusowa i matka synów Zebedeuszowych.

A gdy był wieczór, przyszedł człowiek bogaty z Arymatei imieniem Józef, który także był uczniem Chrystusa, poszedł do Piłata i prosił go ze łzami, aby mu wydał ciało ukochanego Mistrza. Piłat pozwolił. Tedy Józef przy pomocy innych ludzi, zdjął z krzyża najdrosze zwłoki Zbawiciela, owinął je w czyste białe prześcieradło, namaścił olejami i z uszanowaniem złożył w nowowykutym w opoce grobie, który przywaliwszy kamieniem, odszedł.

Gumowski Franciszek.

TYPY WARSZAWSKIE.

I.

PIASKARZ.



Innym dał Pan Bóg rodzinę,
[mienie,
Ciepłe mieszkanie, całe odzienie;
Jam nie znał ojca, nie pomnę
[matki,
Ja nie rozumiem co to dostatki,
Śpię w kącie gdzie mi chłód
[członki skula,
Odzieżą moją zgrzebna koszula,
A przecież, przecież, patrzcie bogacze,
Patrzcie czy płaczę?....

Nie!... jam wesoły, choć bieda chłoszcze,
Choć nieraz w tydzień siedm dni poszczę.
Choć zimą ciało moje kostnieje,
Latem pot z czoła strugą się leje,
Choć muszę chodzić wśród chłodu, głodu,
Z końca na koniec naszego grodu,
By mieć chleb czarny za swe mozoły,—
Jestem wesoły!

Gdyby wam, proszę, wielmożne pany,
Tak jak mnie dano worek parciany,
Jakbyście sobie dali też rady?...
Ot, poszlibyście z workiem na dziady....
Gdyby was los wziął w kluby tak ścisłe,
I codzień pędził nad mętną Wisłę,
Cóż?... pewnobyście w rozpacznym szale—
Skoczyli w fale!...

Jam tak nie zrobił... Mnie się zdawało,
Że z biedą trzeba ostro, a śmiało,
Więc się też wziąłem tak jak umiałem:
W parciany worek piasku wsypałem
I gospodyniom w mieście go noszę,
I zbieram za to trojaki, grosze,
A tak mnie żywi ten mój kochany—
Piasek wiślany.

Nie ma zazdrościć czego mej doli,
Lecz może kiedyś przy Bożej woli,
Jeśli się biedzie dręczyć mnie znudzi
I ja też jeszcze wyjdę na ludzi,
Ale to później!... Dziś mi potrzeba
Na suchy kawał czarnego chleba,
Więc kupcie państwo woreczek mego—
Piasku białego.

Wołody Skiba.

DZIWNI LUDZIE.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 8, 9, 10, 11 12 i 13).

XIII.

Zapach pieniędzy.



Myślał Szerepa wykupując tak drogo nieszczęsny rewers, że sobie kupuje spokój,— było to jednakże złudzenie.

Spokój jego, a z nim wszystkie widoki i plany, wszystkie nadzieje odrodzenia i przekształcenia życia, ugruntowania przyszłości na pracy, wszystko to razem leżało pogrzebione w dwóch mogiłach na cmentarzu osieckim, w jednej rozoranej jego dłonią i w drugiéj zapełnionej jego uniesieniem zbrodniczem.

Ażeby odpędzić ścigającą go myśl o popełnionej zbrodni, Szerepa potrzebował szału, upojenia... a że miał jeszcze pieniądze, więc pić i szaleć rozpoczął na nowo.

Wykształcony w szkole pana Ignacego, umiał już sam wynajdować sobie hulanki, rozrywki, i sam ich szukać postanowił: nie myśląc wracał do przyjaciela, który go w najkrytyczniejszej chwili wyszydził, oszukał i zostawił na łasce losu, zamiast wesprzeć swojem doświadczeniem i radą.

Kilka dni tak upłynęło; i Damon nie napotkał Pytjasa, Mentor nie znalazł Telemaka.

Pewnego przecież dnia jedząc śniadanie w jednej z więcej uczęszczanych winiarni i zakrapiając je węgrzynem, Szerepa nagle uczuł jakąś dłoń poufale spadającą na jego ramię i usłyszał następne wyrazy.

— Powiedz mi mój kochany, co to znów za jakiś kaleka, niedołęga, artysta—warjat, jednem słowem wszystko co tylko może być najbardziej do niczego, pochodzący z twojej wsi... znaleziony został zabitym w dole cmentarnym... przy nim były grube pieniądze i tam dalej... Wszystkie te szczegóły i wiele innych bredni są w gazecie, w korespondencji z okolic Staszowa. Ponieważ z tamtych stron właśnie przybywasz, możesz więc powiedzieć ile w tem wszystkiem prawdy, ile plotki?...

— Więc zabity?... nieżywy?.... pytał niespokojnie Szerepa.

— Ale na śmierć... na miejscu... niewiadomo tylko czy ten co go zabił grób mu także wykopał, czy też znalazł już dół gotowy. Pierwsze byłoby romantyczniejsze. Gazeta pisze, że całe sandomierskie o tem tylko gada... a ty nic nie słyszałeś? chyba, żeś już dawno tu przyjechał?

To mówiąc pan Ignacy, usiadł przy stole Szerepy i nalał sobie jego wina do szklanki.

— O tak, ja bardzo dawno przyjechałem, — odpowiedział roztargniony Szerepa.

— Tak znowu bardzo dawno nie, bo przecież widzieliśmy się przed tygodniem, — rzekł śmiejąc się Ignacy.

— Prawda, widzieliśmy się przed tygodniem, — powtórzył Michał machinalnie i mimowoli się zamyślił.

A w myśli jego stanęło odrazu najniepodobniejsze przypuszczenie.

— Dla czego on mnie o to pyta?... Miałżeby się czego domyślać?..... Zkąd znowu?..... to niepodobna!

— Czegoś ty dzisiaj taki zamyślony Michale?— spytał Ignacy.

— Jakto? — odparł żywo Szerepa, co znowu?.... ja wcale zamyślony nie jestem.

— Jakże nie, — rozśmiał się znów Ignacy, jestem tu od kwadransa, a nie tylko że sam jeść przestałeś, ale nawet mnie do śniadania nie prosisz.

— Ale i owszem.... i owszem.... każ sobie dawać co chcesz..... czyż między nami będą ceremonje?.... tylko... chciałbym zobaczyć tę gazetę.

W taki sposób zawiązał się na nowo stosunek, dwóch na chwilę rozłączonych przyjaciół.

Nie robili sobie żadnych wymówek i wyrzutów; nie było wzmianki o zegarku i futrze. Cała rozmowa tycząca interesów, ograniczyła się do trzech krótkich pytań i trzech również lakonicznych odpowiedzi.

— Jakże pieniądze? — badał Ignacy.

— Mam, — była odpowiedź.

— Wieś sprzedana?

— Nie. Dostałem zkąd inąd.

— Szczęśliwyś!... a rewers?....

— Spalony.

Po tej rozmowie pan Ignacy powiedział sobie.

— Ten chłopak ma szczęście.... jak kot spada zawsze na nogi — pilnujmy go się — głupstwo robiłem żem się chciał go pozbyć.

I stał się jakoś nadzwyczaj serdecznym i wylanym dla Szerepy, a Szerepa brał tę przyjaźń i serdeczność dla siebie za najlepszą monetę, w najweselsze bowiem usposobienie, wprawiło go przeczytanie artykułu o Staszowie, o którym mówił jego przyjaciel.

Artykuł kończył się temi słowy.

„Zdaje się zupełnem niepodobieństwem wyśledzić sprawcę tej okropnej zbrodni, najmniejsze bowiem podejrzenie nie pada na nikogo w okolicy. Pomimo przeciwnej opinji lekarskiej niepodobna było sądzić inaczej, jak że śmierć nieszczęśliwego była skutkiem trudnego do pojęcia przypadku, żaden bowiem interes nie mógł popchnąć nikogo do tego morderstwa, zwłaczcza że przy ofierze znaleziono pieniądze stosunkowo bardzo znaczne, do posiadania których niewiadomo jakim sposobem przyjść zdołał.”

Pewny prawie że wspomnienie jego zbrodni zatrze się zupełnie z biegiem czasu, Szerepa uczuł się lżejszym o sto funtów; nie ma się więc co dziwić, że w takiej chwili o bagatelnych urazach nie myślał.

Zaczęło się więc znów życie wspólne, tym razem jeszcze bardziej nierozłączne niż poprzednio, a tak samo jak poprzednio urozmaicone.

Trwało ono kilka miesięcy.

Po upływie tego czasu, jakiegoś trzeźwiejszego dnia dwaj przyjaciele siedzieli razem w mieszkaniu które wspólnie zajmowali i obliczali stan kassy, pieniądze bowiem Michała za pieniądze obu się uważały.

Kassa była straszliwie nadwerężona.

— Mamy jeszcze koło pięciu tysięcy, — rzekł obliczywszy Szerepa.

— Djablo! to w cale nie zawiele, — zauważył Ignacy.

— Bah! i ja tak myślę, że nie wiele. Co dalej poczniemy? Warto pomyśleć.

— Wistocie, — rzekł Mentor, trzeba pomyśleć o przyszłości na serjo.

— Gdyby karta choć raz szczerze dopisała; byłoby jakoś...

— Możnaby jej dopomódz trochę, — odpowiedział z uśmiechem Ignacy, — człowiek zna się na tem cokolwiek... Tylko że i to djabła warte. Ludzie co mają pieniądze i coby chcieli grać, codzień rzadsi... Złapać kogoś na pareset rubli, to już uroczyste święto.... Gdyby tak coś innego wymyśleć.

— Nic zdaje się nie wymyślimy, — odrzekł posępnie Michał.

— Dla czego nie?... znasz śpiewkę o nadziei...

Tu Ignacy zaczął nucić:

Nie trzeba nigdy tracić nadziei,
Bo bez nadziei jakżeby żyć?...

— Głupia śpiewka, — zadecydował Michał, żyjąc tylko nadzieją chudnie się bardzo prędko...

— Prawda; tymbardziej więc żeśmy oba nie tak bardzo korpulentni; powinniśmy myśleć poważnie. Cóż poczniesz jak to pójdzie?

— Sprzedam wioskę?

— Po spłacie długów zostanie ci bardzo mało.... to poleci piorunem... a potem?...

— Potem?... ja nie wiem co...

— Ot, ożeniłbyś się bogato...

— Sam przecież mówiłeś nieraz, że posażne panny, któreby chciały iść za człowieka bez grosza, należą już dzisiaj do mytów. Łatwiej wygrać wielki los na loterji.

— W istocie, że to djabelny sęk!...

Dwaj przyjaciele zamyślili się.

Pierwszy Ignacy przerwał chwilowe milczenie.

— Wiesz co, jabym ci radził nie sprzedawać wioski.

— A więc cóż począć?...

— Wioska widzisz — tłómaczył Ignacy, to fundament wszystkiego. Póki masz wioskę chociaż obdłużoną, masz jeszcze kredyt i znaczenie w świecie.... Jak sprzedasz, nazwą cię po prostu hołyszem i nikt kieliszka wódki ci nie skredytuje.

— I cóż robić?... zkąd wziąść na bieżące wydatki?...

— Słuchaj-no, ty masz talent dostawania pieniędzy. Ot, naprzykład przed wielkanocą kiedy było potrzeba na ten weksel, dostałeś tak łatwo i tak dużo.

— Cóż z tego?... to na raz sztuka.

— No, możeby sie dała powtórzyć..... z jaką odmianą... Na sztuki wznowione nieraz się tłoczą do teatru jak na nowe... Sprobój.

— Niepodobna...

— Nie ma niepodobieństw na świecie powiedział Napoleon, czy ktoś inny... Poczekaj... ja ci poradzę. Powiedz mi tylko w jaki sposób wówczas dostałeś?

Szerepa zarumienił się.

— Znalazłem, — wyszepnął spuszczając oczy.

— Kpij zdrów! — rozśmiał się Ignacy, — kpij zdrów! Ludzie co gubią tysiące rzadsi dziś jeszcze od bogatych panien co wychodzą za hołysźów.

— Doprawdy... znalazłem.

— Powiedziałem ci żem za stary wróbel, żebym się dał złapać na taką plewę, — odrzekł tonem pewnej urazy Ignacy, — chcesz to zachować w tajemnicy, mniejsza z tem, ja niczyich tajemnic nie badam, ale proszę cię żebyś nie żartował ze mnie.

— Otóż najrzeczywiściej znalazłem pieniądze.... i to w zwaliskach mego własnego spalonego dworu.

— Skarb po przodkach... nie prawdaż?... powieść z tysiąca nocy...

— Z tysiąca nocy rzeczywiście, ale prawdziwa... Człowiek co się spalił w czasie tej pogorzeli zostawił tam pieniądze, które cudem ocalały... Jeżeli nie wierzysz mi, jeżeli mnie o co złego posądzasz, mam dowody, żem właśnie tam te pieniądze znalazł.

— I ty takie dowody chowasz, nieostróżny.

— Może to i źle że chowam, tymbardziej żem nie mógł dotąd przejrzeć co w sobie mieszczą... nic się jednak wydać nie może... tajemnica razem ze spalonym umarła.

— Jakto, więc nie przeglądałeś ich nawet?

— Nie odpowiedział Szerepa, — wiesz, że po francuzku nie umiem, a te papiery są prawie wszystkie w tym języku.

— Widzisz jak mało masz zaufania do mnie....

nie spytałeś się nawet czy ja nie rozumiem cokolwiek francuzczyzny...

— Więc ty mówisz po francuzku?

— Jako tako... kiedyś paplało się lepiej, dziś to jakoś wyszło z użycia, ale sądzę że zrozumiem....

— A to wybornie... przejrzymy je więc razem.... To powiedziawszy Szerepa otworzył z klucza jedną ze skrytek biurka, o której Ignacy nie wiedział i wydobył z niej pugilares spalonego.

Ignacy tymczasem zamknął drzwi na klucz i z ciekawością zabrał się do pierwszego papieru jaki był w pugilaresie.

Rzucił okiem na pieczęcie znajdując się u spodu i zaczął czytać, wymawiając wyrazy tak jak się wymawiają w języku francuzkim:

„*No temo la muerte; ella es el ultimo mal ale todos los males...*”

Był to początek urzędownie poświadczonej kopji testamentu spisanego w języku hiszpańskim. „Nie obawiam się śmierci, jest ona ostatniem złem wszystkiego złego...”

Tu zatrzymał się pan Ignacy.

— Cóż to takiego? — spytał ciekawie Szerepa.

— Do licha! prawdziwa wieża Babel!... to po angielsku czy po włosku... Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli wiem po jakiemu... Niewiele się z tego dowiemy.

— Najlepiej spalić wszystko razem. Niepodobna szukać tłumaczy.

— Ba! spalić!... spalić!... — powtórzył przyjaciel, — to coś pieniędzmi pachnie... ja mam węch!... trzeba przynajmnicj przejrzeć...

I znów zaczął syllabizować:

— *No temo la muerte; ella es el...*

— Dajże już temu pokój... bierz inne papiery.... Ignacy zabrał się do poszukiwań.

Większa część sporej paczki papierów była wprawdzie niezrozumiałą dla niego, poszukiwanie przecież nie było bezskuteczne...

Znalazło się parę listów, oraz jeden czy dwa przekłady dokumentów w języku francuzkim, kilka notatek polskich.

Powoli zaczęło się rozjaśniać w głowie Ignacego, światło to jednak było niedostateczne bez zrozumienia wszystkiego co się znajdowało, nic stanowczo wiedzieć nie było można. Trzeba było jakimkolwiek sposobem znaleść tłumacza.

— Pieniędzmi pachnie! słowo daję pieniędzmi pachnie! — wołał z uniesieniem Ignacy, — koniecznie trzeba wszystko zrozumieć....

— Ba!... ale jak?...

— Na wszystko jest sposób... czekaj!... daj wódki.

Wychylono po kieliszku, pomysł świtać poczynał w głowie Ignacego. Poprawił drugim i zawołał.

— Eureka!

— Masz sposób?... jakiż?.... — pytał niespokojnie Szerepa.

— Mam!

— Tyś nie oceniony Ignasiu! — zawołał Michał rzucając mu się na szyję.

— Na potem czułości, — rzekł wydzierając mu się Ignacy, masz ze trzydzieści arkuszy papieru?...

— Znajdzie się.

— Potniemy to na drobne kartki.

W kilka minut kartki były pocięte.

— Teraz siadajmy do roboty.

— Cóż będziemy robili?

— Wszystkie te papiery trzeba przepisać, na tych kartkach. Będziemy przepisywali oba, bo któż wie czy strata czasu nie jest w tym interesie stratą wszystkiego. Na każdej kartce napisze się tylko jeden perjód. Przepisuj starannie.... bez omyłki... litera po literze. Czego nie wyczytasz, przerysuj. Potem się kartki pomięsza jak groch z kapustą i ty jedną połowę, a ja drugą zaniesiemy do dwóch oddzielnych kantorów tłómaczeń....

— Wyborna myśl! zachwycał się Szerepa.

— Komplementa na później, — odrzekł przyjaciel, — teraz do dzieła... Ale ale... najgłówniejsza rzecz... gdzie spotkasz imiona, nazwiska, cyfry, miasta i tym podobne rzeczy, opuszczaj je i kładź kropki... potem się to uporządkuje.

Pierwszy raz od chwili jak się poznali, dwaj serdeczni przyjaciele wzięli się do pracy.

Bodźcem do niej był zapach pieniędzy.

Jest to podobno najlepszy medykament na lenistwo. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

GOSPODYNI.

„Gdy gospodsia jak laleczka,
Czysty domek ma,
Jużci każdy po podłodze,
Rządną panią zna.” *Jan Czeczot.*

Nie o tych tu zamierzamy mówić gospodyniach, które do południa w ciepłych puchach się wylegają, które we wszystkiem wyręczają się służącą, które wszelką pracę poczytują za ubliżenie, za ujmę swemu wykształceniu, dla których mąż jest dostarczycielem pieniędzy, dzieci ciężarem, dom więzieniem, a zabawa koniecznością. Zamiarem naszym jest pomówić tu o owej biblijnej „statecznej niewieście,” która „jest koroną głowy” swego małżonka jak się pięknie Jan Kochanowski wyraził, którą najwyższe uwielbienie otaczać powinno.

Dzisiaj niestety, coraz mniej jest takich gospodyń, a przecież dziś właśnie gdy oświata z dniem każdym się rozszerza, jest najstosowniejsza dla kobiet pora zajrzeć w siebie i zapytać z ręką na sercu:

— Jestem że godną towarzyszką męża mojego? dotrzymujęż przysięgi przed ołtarzem wyrzeczonej? pełnięż obowiązki swoje? jestemże gospodynią wzorową?

Otóż to i bieda, że nie lubimy patrzeć w siebie, że w cudzem oku zdźbło maluczkie, a we własnem belki nie widzim. Ileż to jest takich modnych pań, którym się zdaje, że już ze wszystkich swoich obowiązków się wywiązały, obdarzając męża dziatwą, zaszczycając go swoją miłością (często udaną) pomagając mu do konsumowania tego, co w krwawym nieraz pocie czoła zapracował! Moje piękne panie, gdyby na tem tylko obowiązki małżonki i matki się zasadzały, to ludzie zczasem wcale bez żon obejść by się potrafili. Takie bowiem malowane żony, to nie towarzyszki co na wszelki trud żywota z mężem pójść gotowe, ale panie przywykłe stąpać po kobiercach i gotowe cię w każdym zawodzie losu opuścić; to nie przyjaciołki twoje co męża i dziatwę nad wszystko kochają, ale modnisie gotowe swój honor dla miłości paryzkiego kapelusza poświęcić; to nie gospodynie wreszcie, dla których oszczędność jest godłem, praca, potrzebą, pełnienie swoich obowiązków drugą naturą, ale owe nieszczęsne istoty, które częściej niż wszelkie przewroty majątkowe, przyczyniły się do zguby swych mężów, do upadku domów, do zwichnięcia losu dzieci swoich.

Lecz cóż to jest ta tak często przez nas wspomniana gospodyni, zapytacie łaskawi czytelnicy? Nie możem wam lepiej odpowiedzieć jak przytaczając wzniosłe słowa Pi-

sma świętego, których każda młoda mężatka na pamięć winna się nauczyć:

„Któż znajdzie niewiastę stateczną, gdyż nad perły daleko większa jess cena jej?

„Serce męża ufa jej, a na korzyściach schodzić mu nie będzie.

„Dobrze mu czyni, a nie źle, po wszystkie dni żywota swego.

„Szuka wełny i lnu, a pracuje ochotnie rękami swemi.

Ręce swoje obraca do kądzieli, a palcami swemi trzyma wrzeciono.

Rękę swą otwiera ubogiemu, a ręce swoje wyciąga ku nędznemu.

Nie boi się o czeladź swoją w czasie śniegu, albowiem wszystka czeladź jej obłoczy się w szatę dwoistą.

Płótno robi i przedawa, także pasy przedawa kupcowi.

Moc i przystojność (przyzwoitość) jest odzieniem jej; nie frasuje się o czasy przyszłe.

Mądrze otwarza usta swe, a nauka miłosierdzia jest na języku jej.

Dogląda rządu w domu swym, a chleba próżnując nie je.

Omylna jest wdzięczność (wdzięki) i marna piękność; ale niewiasta, która się Pana boi, ta pochwały godna."

Do tych słów przed tylu wiekami wyrzeczonych, nic dodać ani też nic ująć nie można. Zmieniły się narody, zmienił się pod wielu względami świat, przegrzmiały nad ludzkością straszne burze, a obowiązki żony-gospodyni pozostały niezmienione co do treści. To już jest rękojmią ich doskonałości, to wreszcie dowodnie nas przekonywa, że nie człowiek te prawa postanowił, nie małżonkowie je sformułowali dla swej wygody, — ale że daleko wyższy mają one początek, bo z praw boskich i przyrodzonych wypływają. Jakoż nie trzeba ani nauki, ani wielkiego rozumu, aby uznać prawdziwość tych słów.

Mężczyznę Stwórca przeznaczył do czynnego, przedsiębierczego życia, a za widownią jego działalności dał mu świat cały; kobiecie zaś pozwolił używać cichych słodyczy domowego pożycia, ścieśnił obręb jej działalności, ujął może sławy, — zaszczytów, znaczenia, ale uchronił zarazem od tysiącznych niebezpieczeństw, kłopotów i przykrości, na które mężczyzna jest narażony. Jego obowiązkiem jest pracować na swoje i rodziny swej utrzymanie; jest czuwać nad jej bezpieczeństwem, bronić od złych przygód, osłaniać, protegować, życie nawet w razie potrzeby za nią położyć; jej zaś obowiązki zasadzają się na *oszczędzaniu* mężowskiej pracy, na *dbaniu* o moralny i fizyczny stan dziatwy i męża swojego, na *wpajaniu* bojaźni Bożej i miłości bliźniego w umysły dziecinne, na porządnem i bogobojnem *utrzymywaniu* domu swojego, na *pamiętaniu* wreszcie o wszelkich, by najdrobniejszych potrzebach męża, dzieci, czeladzi i służby.

Nie przeczymy, że należyte wypełnienie tych obowiązków jest dosyć trudne; nie przeczymy, że przyjemniejby było może nie jednej kobiecie zawodzić skoczne tany, mizdrzyć się po dziesięć godzin u źwierciadła, czytać nerwujące romanse, odwiedzać magazyny modne lub przepędzać wieczory w teatrach i maskaradach, — niż pójść samej na rynek i do jatek, dojrzeć kucharkę a nawet w danym razie ją wyręczyć, przeliczyć kury w kojcu, pocerować pończoszki dziecinne, umyć i uczesać swe dziatki, pamiętać o bieliźnie mężowskiej, w końcu jeszcze jakby tych wszystkich trudów dosyć nie było, powitać wracającego do domu męża dobrem słowem, czułym uśmiechem, miłośnym uściskiem.

— To za wiele na słabą kobietę! powie nie jedna.

— Nie, moja pani, to za wiele na tę tylko, co kobietą być nie umie lub nie chce.

A jednak umieć to i chcieć każda kobieta powinna, jeżeli nie chce być zerem na świecie, jeżeli nie pragnie pójść na poniewierkę u ludzi, jeżeli życzy sobie wieczną nagrodę tu i tam otrzymać....

— Nagrodę na ziemi! jakaż, zapytacie, kobieta pełniąca swe obowiązki otrzymać tu może nagrodę? Pomników jej nie postawią, nazwisko jej na marmurze ryć nie będą, nawet w gazetach o niej, jeżeli troskliwy małżonek nie zapłaci, nie wspomną.

— Powoli, moje panie; nagroda dla niej przygotowana trwalszą jest nad marmury, spiże i gazeciarskie nekrologi, nagrodą jej tu na ziemi (bo o Niebie mowy być nie może) jest miłość i szacunek męża, dziatwy i przyjaciół za życia, a po zgonie jest nią właśnie owa latorośl cnoty i prawości, którą w serca dziatek swych wszczepiła.

Gdy człowiek jest zły, ladaco, gdy się kala w występku i zbrodni, każdy sobie pomyśli:

— A jakaż to matka jego była?

Lecz w przeciwnym razie, gdy ani na krok nie zejdzie z drogi obowiązków swoich, każdy pomyśli i powie:

— Jakże święta niewiasta musiała być matka jego!

Wracamy jednak do przerwanego przedmiotu. Pewien pisarz francuzki powiedział, że wydatki dwojga są mniejsze niż wydatki jednego, czyli innemi słowy, że życie kawalerskie więcej kosztuje aniżeli małżeńskie. Zdanie to wyda się nie jednemu równie fałszywem, jakby kto powiedział, że jeden więcej znaczy aniżeli dwa. Głębiej jednak nad tem zastanawiając się, przyjdziemy do przekonania, że zdanie to istotnie jest prawdziwem, skoro za normę porównania weźmiemy z jednej strony kawalera rozrzutnego, a z drugiej jeżeli obok tegożjuż ożenionego kawalera, postawiemy oszczędną i gospodarną małżonkę.

Nie wielu jest zaiste takich kawalerów, u których przychód żyłby z rozchodem w zgodzie. Godłem większej części bezżennej młodzieży jest — wydawać nie patrząc na jutro. Życie we dwójnasób mu kosztuje w porównaniu z tem co żonaci przeżywają. Stół w trakjerni daleko jest droższy anizeli domowy; herbata zaś lub kawa, jeżeli jej w domu nie pije, dwa lub trzy razy więcej kosztuje jak w domu; a jeżeliby nawet środki pozwoliły mu trzymać służącą lub lokaja, jeżeliby zechciał u siebie się stołować, to i w takim nawet razie więcej straci aniżeli zyska, bo wiadomo jak służący oszukują kawalerów, a do tego młodych. Kawaler zresztą musi jak to mówią, lepiej się pokazać, a więc ubior jego kosztuje we dwójnasób a czasem we trójnasób w porównaniu z ubiorem żonatego. Za bieliznę szwaczki i praczki biorą od niego ile się im podoba; stróż za przynoszenie wody tyle mu zapłacić każe, ile wynosiłyby roczne zasługi służącej. Wreszcie każdy interesowany i nie interesowany wziął sobie za normę we wszystkiem i wszędzie wyzyskiwać kawalera, który ani umie, ani chce rachunków prowadzić.

Inaczej się ma z człowiekiem, który pojął gospodarną żonę. Tu każdy grosz jest obliczony, wyrachowany, wydatek nigdy nie przenosi przychodu, małe przyjemnostki nigdy nie wyradzają się w zbytek, a pomimo to jednak w domu panuje większy ład, porządek, a nawet dostatek niż przedtem. I co większa jeszcze, — gdybyśmy zajrzeli do wszystkich kryjówek, może znaleźlibyśmy nie jednego rubelka, na czarną godzinę schowanego.

Zaledwie widzim potrzebę popierać tu swoje twierdzenia przykładami z życia wziętemi — każdy prawie na sobie może się o tem przekonać. Lecz jeżeli już tak koniecznie chodzi o przykłady, przytoczym jeden, za którego rzeczywistość najsumienniej zaręczamy:

Poznałem pana B. na drugi rok po ożenieniu; w domu jego panował największy ład i porządek, wszystko było na swojem miejscu, wszystko w miarę, a jeżeliś nie dojrzał tam zbytku, to też i niedostatku nie było. Cały dom był na rękach żony, mąż nie miał potrzeby do niczego się mieszać, bo wszystko było zrobione należycie, w swoim czasie podane, a to bez żadnych fochów i narzekań, bez najmniejszych ze strony żony wymówek. A gdy się znalazł ktoś

obcy, takiego tam serdeczne a uczciwe przyjęcie czekało, że z żalem te błogosławione progi opuszczał. W dom ten cios uderzył: p. B. obłóżnie zachorował i kilka miesięcy na łożu boleści przeleżał. Łatwo każdy wyobrazi ile ta choroba kosztów pociągnęła; lecz nie każdy w to uwierzy, że zacna pani B. najmniejszego długu na kuracją nie zaciągnęła i nic nie przedała ani z rzeczy, ani ze sprzętów. A jednak dochody mężowskie wynosiły na miesiąc tylko *trzydzieści rubli!*

W kilka lat później wzorowa ta żona i gospodyni, wieczną żałobą zacny ten dom okryła: zmarła z suchot. Dochody pana B. zwiększyły się o kilka procentów, ale rozchody zamiast się zmniejszyć, wzrosły. Pan B. nie tylko nic nie zbierał na przyszłość, ale ledwie mógł się utrzymać z większych niż uprzednio przychodów. A jednak nie należał on do rzędu tych ludzi, których przyrównaćby można do beczek bez dna.

I jak tu wytłumaczyć sobie to zjawisko?

Oto, że mężczyzna umie tylko pracować i wydawać, a skrzętna kobieta umie nie tylko pracować, ale i oszczędzać. Mężczyzna niewie częstokroć ile rubli do jego kieszeni wpłynęło, kobieta zaś gospodarna wie o każdym groszu wydanym lub mającym się wydać.

Dobra gospodyni ma prócz tego tysiące sposobów oszczędności, o których się ani śniło mężczyznie. Nie kupuje ona jak to czynią niektóre panie, za grosz pieprzu, za grosz soli, za kilkanaście groszy cukru lub herbaty, wie bowiem że w większej ilości ten sam towar dostanie nie tylko w lepszym gatunku, ale i nierównie taniej. Nie wysyła samej sługi na rynek i do jatek, bo przypuściwszy nawet, że ta nie chce jej oszukiwać, to w każdym razie sama gospodyni i lepiej się może potargować, i doskonalszy towar kupić, i znaleść czasem na targu jaki produkt potrzebny a tani, którego kucharka bez wiedzy pani naturalnie nie kupiłaby. Nie nabiera ona na kredyt u kupca i piekarza, raz dla tego, że zwykle towar dany na kredyt gorszego jest gatunku, powtóre: że biorąc przez czas długi na kredyt, można łatwo stracić kontrolę wydatków i przychodów i najniespodzianiej w długi zabrnąć, z których poźniej wycofać się trudno. Tem więcej jeszcze nie ucieka się do rujnujących pożyczek i gdy bieda przyciśnie, ograniczy swe wydatki: z dwóch na jednę przejdzie potrawę, usunie ciasto i masło od herbaty, przeda wreszcie swą sukienkę, ale pod żadnym pretekstem nigdy i u nikogo długu nie zaciągnie, i męża nawet prosić będzie aby go nie zaciągnął. Nic bowiem tak nie podkopuje dobrobytu, tak nie niszczy największych nawet fortun, tyle zgryzot, kłopotów, a w końcu nędzy nie sprowadza, -co owe niewinne dłużki, usprawiedliwione zawsze jakąś naglącą, niezbędną potrzebą.

Nie koniec na tem. Dobra gospodyni nie tylko jest uosobioną oszczędnością, ogniotrwałą kassą swego męża, ale zarazem jestto prawdziwy anioł poświęcenia. Byle tylko w domu było przyzwoicie i porządnie, byle mąż, dzieci i czeladka byli syci i odziani, ona nieraz o sobie i potrzebach swych zapomina. Mąż może czasem ani wie, ani domyśla się, że cała garderoba żony z jednej lub paru sukienek się składa; a przecież o jego uszy nigdy żadna się skarga o to nie obije, a co jeszcze dziwniejsza, że pomimo tak widocznego niedostatku, małżonka jego piękniej i przyzwoiciej wygląda, aniżeli nie jedna z tych błyszczących motylowych pań, których tualeta z jednego tylko wieczora, mogłaby kilkanaście biednych rodzin przez cały rok utrzymać i tyluż młodym ludziom dać odpowiednie wychowanie.

Taką to jest dobra gospodyni.

Lecz gdzie jej szukać? zapytacie moi czytelnicy, gdzie skarb taki znaleść?

Gdzie znaleść? tam gdzie się znajdzie skromny kwiatek fijołka, w cieniu, w ukryciu, zdala od gwaru światowego, od posadzek froterowanych, od wystaw złoconych i grzeczności udanej.

Tam takich gospodyń szukajcie, a ręczę wam że znajdziecie.

Mścisław Kamiński.

Świstak czyli Bobak.

Między licznemi stworzeniami na ziemi, które nieraz przedstawiają szczytny wzór pracy dla człowieka, tego dumnego pana natury, słusznie pomieścić można Bobaka, (Świeszcza lub Świstaka). Małe to zwierzątko z rodzaju gryzących, nie przechodzi wielkością królika, tylko uszy ma mniejsze, — a ogon kiściasty, w trzeciej części tak długi jak ciało. Włos zaś ma koloru żółtawo-szarego. Bobaki żyją tylko na najwyższych górach Alpejskich i Pirenejskich, w których misternie urządzają sobie mieszkania.

Nieznosząc miejsc wilgotnych, kopią one sobie jamy w wązkich zwykle parowach, obróconych na południe. Wejście do jamy kryją pod kupą kamieni, pod ziemią zaś jama ma kształt mniej więcej podobny dolitery J z bokowemi wyjściami. Wnętrze swej komnaty, wyścielają mchem i sianem starannie zebranem i ułożonem.

Przy zbieraniu siana, dzielą się na pewne oddziały: jedne podgryzają trawę, drugie zbierają, inne wreszcie zanoszą ją do składu.

Świstakami zowią ich dlatego, że gdy mają wychodzić na żer lub sianozbiór, jeden z nich (zwykle samiec najodważniejszy) wyrusza na czaty, a ujrzawszy nieprzyjaciela, ostrzega świstaniem swych towarzyszy o grożącem niebezpieczeństwie.

Podobnie jak niedźwiedzie, przepędzają bobaki zimę w odrętwieniu czyli śnie zimowym, zamykając wtedy tak szczelnie otwór swej jamy, że w żaden sposób nie można go odszukać. Powodem do tego jest zbyt wielka ich czułość na zimno; atoli z drugiej znów strony, niedomyśla się zapewne że mieszkają na najwyższych górach, gdzie prawie nigdy nie topnieją śniegi. W końcu Września i początku Października, bobak przygotowuje sobie zimowe mieszkanie, z którego nie wychodzi wcześniej jak w połowie Kwietnia; z początkiem zimy bobaki są tłuste, w końcu zaś bardzo chudną i w lecie na nowo muszą się odżywiać. Jedzą wszystko: chleb, owoce, trawę, korzenie, i t. p., trawę jednak głównie chowają dla dzieci.

W norze spią one zwykle zwinięte w kłębek i w tem położeniu można je bić, zabrać i nawet zabić,— a nie dadzą najmniejszego oznaku czucia. Zabierają je też niekiedy dla skór na bębny, a czasami i dla mięsa, które górni mieszkańcy ze smakiem spożywają. W każdym jednak razie rzadko się to im zdarza, gdyż bardzo trudno jest na jamę natrafić.

Bobak nie jest tak ruchliwy jak inne podobne mu zwierzątka, lecz owszem bardzo jest powolny w swych ruchach. Jeżeli się pragnie dostać na górę, to z wielkiemi trudami, i zawsze w takiej podróży dopomaga sobie czołganiem; w norze zaś ruchy jego są nieco podobne do kominiarzy, przesuwających się w kominach piecowych.

Strudzone pracą wewnątrz swych kryjówek, wychodzą bobaki czasami latem w piękną pogodę ze swych nor całemi rodzinami i podobnie jak małe dzieci igrają swobodnie, lub wygrzewają się na promieniach słońca.

Naigrawszy się dowoli, siadają na tylnych łapkach i kilka godzin pozostają w tym nieruchomym stanie, jakby napawając się miłem powietrzem i światem.

Łagodne te stworzenia, można powiedzieć że nigdy nie obraniają się od napaści innych zwierząt, jedyną ich bowiem ochroną, jest ucieczka, w której jak wiadomo wcale nie celują. Dlatego też skoro tylko przewidują grożące im niebezpieczeństwo, lub ujrzą przypadkiem jakiego wroga

zaraz opuszczają dotychczasowe swe nory i śpiesznie wraz z całemi rodzinami włóczą się pocichu i ostróżnie dopóty, dopóki znów nie znajdą sobie dogodnego miejsca dla utworzenia nowego mieszkania. Jeżeli zaś ukryć się nie zdołają i są zaskoczone zewsząd od nieprzyjaciela, wtedy dopiero wszystkiemi siłami starają się go odeprzeć, używając do tego ostrych swych zębów i pazurów, choćby napadającym był nie zwierz inny, ale nawet człowiek. Siła ich zębów jest tak wielką, że złapane bobaki, w mocnéj żelaznej klatce mogą być tylko trzymane, z innej bowiem łatwo się wydostają i wtedy niemiłosiernie niszczą zębami meble. Zwróciwszy jednak uwagę na swobodne domowe ich życie, przedstawią się nam ono zupełnie inaczej; ich wtedy zręczność i rzec można mieszkania, ich staranność i dbałość o rodzinę, a szczególniej o małe swe dzieci, pewna systematyczność w życiu i zatrudnieniach jakowej pracowitej przczółki,—śmiało mogą być przykładem dla nie jednej z rozumem nawet obdarzonych i wyłącznie do pracy przeznaczonych istot. Korzystając z pojętności (zwłaszcza młodych) bobaków, Sabaudczycy wyuczają je wielu sztuk i okazują po różnych miastach Włoch i Francji.

Kazimierz Mejer.



Bobaki. (do str 111).

ROZMAITOŚCI.

— **Robotnicy na wystawie Paryzkiej.** Anglja i Prussy doniosły rządowi Francuzkiemu o liczbie robotników, jaką zamierzają wysłać na międzynarodową wystawę w Paryżu, która jak wiadomo rozpoczęła się pierwszego Kwietnia r. b. Z Angjli 50, z Pruss 10 tysięcy robotników, wysłanemi zostaną kosztem Rządu. Cesarz Francuzów wydał zarządzenie wybudowania dla tych gości, pięknych drewnianych baraków w miejscowościach niezamieszkałych Paryża, i polecenie to już jest przyprowadzone do skutku przez prefekta. Rząd Angielski przeznaczył dla każdego robotnika po pół funta szterlinga (3 rs. 25 kop) a pruski po 3 talary (3 rs. 15 kop) dziennie sposobem dyet bezzwrotnych.

—**Miljard.** Niejakie wyobrażenie wielkości *miljardu* dać może tá okoliczność, że dopiero za lat 37 to jest dnia 22 Marca 1904 r. o godz. 9 min. 20 wieczór skończy się *miljard minut* od Narodzenia Chrystusa.

Do upływu *stu tysięcy tygodni* od początku ery chrześcjańskiej potrzeba jeszcze 50 lat przeszło; skończą się one w dnia 13 Lipca 1917 r.

W dniu 8 Kwietnia 1826 r. o godz. 4 po poł. skończyło się sześnaście miljonów godzin od Nar. Chr; siedmnasty zaś miljon skończy się dopiero za 73 lata, to jest 7 Maja 1940 r. o godz. 8 rano.

Drobną cząstką czasu jest godzina, a przecież życie ludzkie niesłychanie rzadko do miljona godzin dochodzi, miljon godzin bowiem stanowi blisko 114 lat.

Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*Koniec konferencyi*).

Panicz. Niech cię licho, panie Pinkusie, dam po 3 na miesiąc i basta.

Lichwiarz. Ale procent do kapitału doliczyć.

Panicz. Zgoda, a teraz (*wyjmując butelkę*) wypijmy kieliszek szampana.

Lichwiarz. (*Zakłopotany*) Dziękuję panu... bo to... przepraszam..... widzi pan może to...

Panicz. Nie koszerne? a to dopiero, czy to pierwszy raz u mnie pijesz, hypokryto, wszak i niedawno szynkę jadłeś!

Lichwiarz. Ale bo to... widzi pan... jam nie zabobonny... ale...

Panicz. Pinkusie, niecierpliwisz mnie.. gadajże już raz!

Lichwiarz. Bo się obawiam aby to nie było *kapielne*......

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor. Adam Mieczyński.